



WOLNOŚĆ - RÓWNOŚĆ - NIEPODLEGŁOŚĆ

Lewa noga

Podobnie jak człowiek, żeby chodzić, musi mieć obie nogi – lewą i prawą, życie polityczne, aby było normalne, powinno mieć prawicę i lewicę, a najlepiej – centroprawicę i centrolewicę. Ładna jest ta zdroworozsądkowa sentencja Lecha Wałęsy, trochę gorzej, że na ową lewą nogę kreuje się postpeperowski struktury, przemalowane pospiesznie na socjaldemokrację. Nie jest to zdrowa noga i zbyt daleko się na niej nie zajdzie.

Polsce jest potrzebna lewica (czy centrolewica) o uczciwym, opozycyjno-solidarnościowym rodowodzie. I jest w Polsce taka lewica, tyle że zapędzona do kąta, wstydząca się, że żyje, odarta z symboli i znaków rozpoznawczych, skonfundowana 45-leciem komunistycznych nieprawości. Kilka lat temu w „Myślach staroświeckiego Polaka” Piotr Wierzbicki pisał, że w opinii społecznej (ówczesnej) „być lewicą” brzmi dumnie, postępowo i po europejsku, zaś prawica traktowana jest jako coś podejrzanego, wstydliwego i zaściankowego. Dziś sytuacja odwróciła się. Prawica jest w natarciu, przeżywamy coś w rodzaju „dziecięcej choroby prawicowości”, zaś lewica boi się odezwać, a jak się odzywa to twierdzi, że lewicą nie jest.

Pisząc o lewicy nie mam na myśli formacji określanej mianem tzw. lewicy laickiej. To nie jest już chyba lewica, gdyż za bardzo zbliżona do władzy, a każda władza jak twierdzi Jacek Kuroń jest prawicowa.

Co zaś do samego pojęcia lewicy i jego znaczenia w dzisiejszej Polsce – jest to temat na traktat politologiczny, niemożliwy do wydrukowania w „Robotniku”. Może najbliższy prawdy jest tu Kazimierz Brandys twierdząc, że lewicą są ci, którzy zasiadają po prawicy Pana Boga. Lecz i to nie jest zupełnie pewne. Sądząc z braku zimy w tym roku Pan Bóg ma jakiś stosunek do planu Balcerowicza, lecz jaki? To można dwojako tłumaczyć.

Sądzę, że wyróżnikami lewicowości są dziś nie odniesienia, sentymenty czy rodowody historyczne, lecz przekonanie, że społeczeństwo i jego organizacja państwowa mają obowiązek umożliwić jednostce godziwe życie. Godziwe, a więc z placą starcząącą na elementarne potrzeby, z możliwością zdobycia mieszkania, opieką zdrowotną, dostępem do nauki i kultury. Reszta oczywiście zależy już od jednostki.

Te powinności zostały obecnie zanegowane przez będących w natarciu neoliberalistów, zwolenników Friedmana i Hayeka. W Polsce rozpoczął się wielki spór o społeczne koszty zmiany modelu gospodarczego. Czy ceną za przejście do gospodarki rynkowej i prywatyzację ma być jeszcze jedno zmarnowane pokolenie? Lewica jest potrzebna, by w pogoni za Europą nie dopuścić do stratowania połowy społeczeństwa.

Żeby jednak wykonać swoje zadanie, lewica musi przestać się wstydzić. Oczywiście, nie wszystkie jej odłamy się wstydzą. Nie wypiera się swej tożsamości PPS, starając się, często bezskutecznie, przekonywać, że nie ma takiego ustroju jak socjalizm (był tylko komunizm zwany realnym socjalizmem), istnieje natomiast system wartości, na którym, zdaniem socjalistów, powinno opierać się życie społeczne.

ciąg dalszy na stronie 2

Uchwała Prezydium RN PPS

w sprawie niepodległości Litwy

PPS wyraża głęboką radość z faktu odzyskania przez Litwę niepodległości. Oczekujemy od Rządu RP nie tylko formalnego uznania tego faktu, ale i udzielenia niepodległej Litwie, w miarę możliwości i potrzeb pomocy gospodarczej, choćby przez udostępnienie dróg transportowych oraz ewentualne dostawy węgla.

Serdecznie pozdrawiamy Socjaldemokratów litewskich i liczymy na ścisłą z nimi współpracę.

Warszawa, 12.03.1990 r.

Bezrobocie i spadek produkcji

Společne skutki programu Balcerowicza

(spotkanie w SGPIS)

Czy PPS opowiada się za aktywnym oddziaływaniem na rynek by zmniejszyć negatywne skutki planu Balcerowicza, czy jest tylko za podwyższeniem czerpanych z budżetu państwa zasiłków dla bezrobotnych i dotacji? Jaka jest polityka ekonomiczna PPS? Czy polskich socjalistów stać i czy uważają za celowe opracowanie własnego, całościowego programu naprawy gospodarki? Czy z lęku przed obcym (m.in. niemieckim) kapitałem są za siermiężną wegetacją w cieniu własnego, przestarzałego przemysłu, czy raczej za niosącą groźbę upadłości niekonkurencyjnych przedsiębiorstw otwartością gospodarki dającą szansę na rozwój? Na zorganizowanym przez koło PPS „Wiedza” 13 marca br. w Szkole Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie, spotkaniu poświęconym „Społecznym skutkom planu wicepremiera L. Balcerowicza” skupiono się głównie na ocenie konsekwencji jakie niesie rządowy plan stabilizacji gospodarki dla społeczeństwa i programu PPS. W dyskusji nie zabrakło również pytań demagogicznych: czy rząd ma prawo sprzedawać społeczny majątek dla zapalenia dziury w budżecie wytworzonej przez podwyższenie świadczeń socjalnych, zasiłków i dotacji do żywności? Czy jakkolwiek partia może myśleć o odegraniu niezależnej roli nie przeciwstawiając się planowi Balcerowicza? – pytali ci, którzy wykonali zwrot w tył na lewo tęsknie spoglądając w stronę koncepcji ekonomicznych nieboszeczki PZPR? Czy możemy się zgodzić, by Polskę przyłączyć do krajów Ameryki Łacińskiej, by program, który ma na celu zrównoważenie budżetu zmniejszał produkcję czyniąc z Polski zaplecze surowcowe krajów rozwiniętych? – stawiali z kolei ostro sprawę nie doceniający praw rynku, opowiadający się w istocie za kolejną wersją siermiężnego totalitaryzmu – lewacy. Świadczyło to, że spotkanie, którego organizatorem było koło PPS „Wiedza” skupiło ludzi o nader rozbieżnych poglądach, wykraczających poza opcję socjalistyczną.

– Sprawy ekonomiczne są dla socjalistów najważniejsze – podsumował spotkanie Jan Józef Lipski, przypominając, że głos w imieniu socjalistów powinni zabrać ekonomiści PPS, zwrócił uwagę, że w rozwiązaniach gospodarczych nie powinno zastępować się starych dogmatów monopolistycznej gospodarki nowymi (prywatyzacja). Nie przesądza to kształtu konkretnych rozwiązań, jeśli nie wchodzi w konflikt z komunistycznymi wartościami etycznymi socjalizmu.

ciąg dalszy na stronie 2

Komunikat prasowy Prezydium RN PPS

1. Prezydium postanawia przedstawić Radzie Naczelnej PPS projekt uchwały dotyczącej stosunku do innych organizacji krajowych, używających w swej nazwie słów „Polska Partia Socjalistyczna” bądź „Socjaldemokracja”.

2. Dążąc nieustannie do zjednoczenia prawdziwej polskiej lewicy, nie widzimy możliwości współpracy z grupami trockistowskimi, jak PPS-RD, grupami sterowanymi przez osoby tak skompromitowane jak pan Juliusz Garztecki (PPSD i TKK PPS) czy też utworzonymi przez komunistów ugrupowaniami postpezetpeerowskimi.

3. Polska Partia Socjalistyczna działająca w kraju, wyraża chęć kontynuowania i zacieśniania kontaktów z Centralnym Komitetem Zagranicznym PPS, aż do przyszłego zjednoczenia i wspólnego ubiegania się o należne polskiemu ruchowi socjalistycznemu miejsce w Międzynarodówce Socjalistycznej. Wyrażamy CKZ PPS podziękowanie i hołd jako partii, dzięki której nie ustala ciągłość ideowa i organizacyjna Polskiej Partii Socjalistycznej.

4. W chwili obecnej PPS nie podejmuje się reprezentowania interesów jakiegokolwiek organizacji – poza CKZ PPS, jeśli ten wyrazi w tej sprawie chęć i zgodę.

Warszawa, 12.03.1990 r.

28 lutego 1990 r. zmarł w Krakowie
w wieku 77 lat

Kornel Filipowicz

pisarz, humanista, członek
odrodzonej PPS

Żegnamy Go z głębokim żalem

Redakcja „Robotnika”

ciąg dalszy ze strony 1

Lewa noga

Z różnych względów PPS nie stała się animatorem szerokiego porozumienia lewicy. Porozumienie to jest jednak konieczne, a jednym z jego elementów powinna być Polska Partia Socjalistyczna. O takim centrolewicowym porozumieniu trzeba myśleć już dziś, w perspektywie przyspieszonych wyborów parlamentarnych. Jego sygnatariuszami mogą być zarówno ugrupowania polityczne, np. „Reforma i Demokracja” czy Centrum Demokratyczne, niektóre środowiska katolickie, grupy parlamentarzystów (np. Parlamentarna Grupa Obrony Interesów Pracowniczych), cieszące się autorytetem osoby o poglądach socjaldemokratycznych, wreszcie – środowiska i działacze związkowej „Solidarności” odzegnujący się od lewicowości werbalnie, a w rzeczywistości akceptujący proponowane przez lewicę wartości.

Nie dajmy polskiego „świata pracy” liberałom na pożarcie!
Iwona Różewicz

Informacje na temat PPS i wydawnictwa
partyjne otrzymać można w lokalu Rady
Naczelnej PPS (i okręgu warszawskiego).

Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście
6, II p., tel. 26-69-08 i 26-20-54

Zapraszamy zainteresowanych!

ciąg dalszy ze strony 1

Społeczne skutki programu Balcerowicza

Atakowany za fotograficzne przedstawienie skutków programu Leszka Balcerowicza i brak pogłębionej analizy społecznych implikacji, posunięć zmierzających do stabilizacji gospodarki, zagajający spotkanie dr Krzysztof Hagemajer, wspominał o projektach uruchomienia specjalnego funduszu, z którego – na wzór francuski z lat 30-tych – udzielano by nisko oprocentowanych kredytów dla bezrobotnych na podjęcie działalności gospodarczej. Głównie jednak skupił uwagę na wiążącym się z programem stabilizacji, ale występującym już w wyniku wcześniejszych decyzji rządu spadkiem dochodów realnych (spadek płac realnych o ok. 30% w pierwszych miesiącach br., poprzedzony był zmniejszeniem się płac realnych o 18% w ostatnim kwartale ub.r.), spadkiem zasobności społeczeństwa związanym z ustabilizowaniem kursu dolara (po wymianie na złote obecnie 100 dol. warte jest ok. 25 dol. z lipca ub.r.) – co wiążąc się z nieelastyczną polityką socjalną rządu może doprowadzić do wyczerpania się cierpliwości społeczeństwa. Trzydziestoprocentowy spadek produkcji w styczniu i lutym (w stosunku do odpowiedniego okresu ub. r.) jeśli nie zostanie zahamowany – grozi recesją. Bezrobocie oceniane oficjalnie na 200 tys. – może się zwiększyć, gdy zakłady przemysłowe zamiast przeczekiwać, urlopować pracowników, zaczną ich zwalniać. Po dwóch miesiącach działania wystąpiły głównie negatywne skutki społeczne programu. Nie nastąpił np. wzrost obrotów handlu zagranicznego oczekiwany po wprowadzeniu wymienialności złotych. W związku z tym, utworzona w parlamencie Grupa Ochrony Interesów Pracowniczych, postuluje złagodzenie programu, zmiany polityki w stosunku do rolnictwa, dotacje do żywności, dotacje do stoczni i fabryk, stopniowy wzrost stopy procentowej.

(rass)

Z młodzieżą o Marcu 68

5.03.br. w Liceum Medycznym nr 1 przy ul. Ciołka z okazji rocznicy Marca 68 odbyło się spotkanie Jana Józefa Lipskiego z młodzieżą klas maturalnych. Na spotkanie przybyła również kilkudziesięciuosobowa grupa uczniów z III LO im Sowińskiego. Gość mówił o wydarzeniach Marca 68, szczególnie podkreślając źródła i skutki polskiego antysemityzmu podsycanego przez ówczesną propagandę. Stwierdził, że antysemityzm w Polsce jest sprawą wciąż aktualną, o czym świadczą choćby niektóre wydawnictwa rozprowadzane na Krakowskim Przedmieściu. Na pytanie o stosunek Kościoła do wydarzeń marcowych J.J. Lipski odpowiedział, że reakcja Kościoła na kampanię antysemicką i nietolerancję światopoglądową była zbyt słaba i mało widoczna. Padają również pytania niestereotypowe np. o oddźwięki Marca na prowincji.

Sądząc po zainteresowaniu młodzieży poruszonymi problemami, należy uznać to spotkanie za bardzo ciekawe i pożyteczne.

Już drugi „Naprzód” pod Wawelem

Głupia sprawa

Środowisko TKK PPS w Krakowie powołane do życia przez część członków PPS-owskiej grupy z Nowej Huty, którzy opuścili szeregi partii i przeszli do wyżej wspomnianej organizacji, opublikowało pierwszy numer swego pisma zatytułowanego „Naprzód”. Secesjonści mieli pełne prawo dokonania swego wyboru politycznego. W numerze jest kilka interesujących materiałów, które sami byśmy z chęcią zamieścili.

We wstępie redakcja napisała m.in.: *Dzisiejszy numer „Naprzodu” jest pierwszym od 1945 r. pismem Polskiej Partii Socjalistycznej na terenie Krakowa.* Błędą z tym, że od półtora roku małopolska organizacja PPS wydała 15 numerów swego pisma zatytułowanego właśnie „Naprzód”. Fakt ten jest doskonale znany kolegom z Nowej Huty, bo przecież byli członkami tejże organizacji małopolskiej. Ba... pisywali w nim.

Można by pisać o kradzieży tytułu, nieprzyzwoitości, wprowadzaniu w błąd opinii publicznej. Ustosunkować się do tego faktu musi nade wszystko Małopolski Komitet Okręgowy PPS. Patrząc z bardziej odległej perspektywy wypada jedynie skonstatować, że jeśli nawet Andrzej Szewczuwaniec sygnuje swym nazwiskiem ewidentne bzdury, to jest to głupia sprawa.

Krzysztof Markuszewski

Poeta spisze prawdę

(na podstawie rozmowy z Armando Valladaresem)

Armando Valladares — kubański poeta, wieloletni (22 lata) więzień polityczny, obecnie działacz na rzecz praw człowieka zgodził się na wywiad o sobie. Oto zapis tej rozmowy:

Armando Valladares został aresztowany przez castrowską służbę bezpieczeństwa w grudniu 1960 r. Był wtedy mimo młodego wieku (23 lata) dyrektorem Departamentu w Ministerstwie Łączności i jak większość Kubańczyków zwolennikiem „Ruchu 26 lipca” z Fidelem Castro na czele.

„Ruch 26 lipca”, który obalił dyktaturę Batisty, głosił powrót do demokracji parlamentarnej i przywrócenie demokratycznej konstytucji z 1940 r. Komuniści na Kubie tworzyli wtedy odrębną partię i nie identyfikowali się z „Ruchem 26 lipca”.

W 1960 r. Fidel Castro ogłosił nagle, że całe swe świadome życie był komunistą i że nie ujawniał dotychczas tego ze względów taktycznych. W Ministerstwie Łączności, podobnie jak w innych urzędach, zażądano od wszystkich urzędników deklaracji lojalności wobec Fidela Castro. Gdy na biurku Armanda postawiono tak jak wszystkim tabliczkę z napisem: *Fidel jest komunistą, jestem z nim solidarny, ów w odróżnieniu od pozostałych kolegów poprosił o zabranie tabliczki. Był nadal lojalnym obywatelem, ale do komunizmu nie poczuwał się. Z wielorakich względów politycznych i religijnych. Po kilku dniach został*

aresztowany pod zarzutem działalności antypaństwowej i po śledztwie trwającym dwa tygodnie został skazany na 30 lat więzienia. Obronę spotkał dopiero na sprawie sądowej, w dodatku obrońca nie znał akt sprawy i przeglądał je na chybcika podczas rozprawy. W odróżnieniu od praktyk stalinowskich w ZSRR lub w KDL-ach śledztwo trwało krótko i nie stosowano wobec niego tortur, ale skutek był taki sam: człowieka zupełnie niewinnego, za gest niezależności ideowej, budzący obawę o zachowanie się w przyszłości, wsadzono na wszelki wypadek na 30 lat więzienia. Przesiedział z tego 22 lata. Warunki więzienia były okropne, porównywalne z najgorszymi wzorcami stalinowskimi. Więźniów bito, Armando ma na głowie szramy od ciosów kołbą rewolweru. Po nieudanej ucieczce, przez wiele miesięcy siedział w celi gorszej od najgorszej „tygrysowy”: nago na betonie w piwnicy, gdzie zamiast sufitu była krata, po której chodził strażnik, pilnujący by więzień nie mógł spać. Gdy po wielu dniach bez snu więzień zasypiał, strażnik bił go prętem przez kraty lub polewał go ekskrementami z kubła. Pewnego dnia Armando był już tak nieprzytomny, że nie czuł jak szczur wyliżujący nieczystości z jego ręki zaczął ją nadgryzać. Dopiero strażnik po kilku minutach połapał się i prętem przepędził szczura.

ciąg dalszy na stronie 5

Kto zamordował?

Jana Strzeleckiego, pisarza i socjologa, znałem i lubiłem jeszcze z czasów PPS-owskich. Ostatni raz widziałem go w Tatrach, na ścieżce z Doliny Pięciu Stawów do Morskiego Oka. Był w towarzystwie starszego brata, który przyjechał z Kanady, by — jak powiedział — pożegnać się z Tatrami.

Latem 1988 r. Jan Strzelecki został zamordowany przez nieznaną sprawców w tajemniczych okolicznościach. Po długotrwałym śledztwie na ławie oskarżonych przed Sądem Wojewódzkim w Warszawie zasiadło czterech młodocianych bandziorów, którzy popełnili dziesiątki różnych przestępstw. Dwóch spośród nich przyznało się, że to właśnie oni zamordowali Strzeleckiego.

Byłem kilkakrotnie na sali rozpraw i przysłuchiwałem się ze znaniami oskarżonych (żadnych świadków mordu nie było) oraz wyjaśnieniom powołanych przez sąd biegłych z dziedziny medycyny sądowej. Oskarżeni sprawiali wrażenie ludzi prymitywnych, zaśniali się często brakiem pamięci, a ich przyznanie się do winy nie było przekonujące (według nich chcieli tylko obrabować Strzeleckiego, a nie mieli zamiaru go zabić). Biegli mieli liczne wątpliwości, zwłaszcza nie mieli pewności, czy drąg leżący na stole sędziowskim rzeczywiście był narzędziem mordu.

W charakterze oskarżyciela posiłkowego występował mec. Jan Olszewski, pełnomocnik żony Strzeleckiego — Jadwigi. Na wniosek mec. Olszewskiego sąd zwrócił się do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z zapytaniem, czy funkcjonariusze Ministerstwa inwigilowali zamordowanego. Z MSW przyszła odpowiedź na piśmie, że Strzelecki nigdy nie był śledzony przez agentów Ministerstwa czy Służby Bezpieczeństwa.

Po odczytaniu tej odpowiedzi w roli świadka wystąpiła p. Jadwiga Strzelecka. Opowiedziała szczegółowo, jak często agenci SB śledzili jej zamordowanego męża, jak często wzywali go na „rozmowy”, jak nieustannie interesowali się każdym jego krokiem. W tym miejscu trzeba wyjaśnić, że Jan Strzelecki od chwili

narodzin „Solidarności” był aktywnym członkiem i doradcą Związku i że nie poniechał działalności w latach stanu wojennego i delegalizacji „Solidarności”. Nic więc dziwnego, że SB tyle uwagi poświęcała jego poczynaniom.

Pod koniec rozprawy przed Sądem Wojewódzkim w Warszawie nastąpiła sensacja. Mec. Olszewski jako pełnomocnik oskarżycielki posiłkowej wycofał oskarżenie wobec Marka Marca i Krzysztofa Chrobocińskiego, którzy „przyznali się” do winy i którym prokurator zarzucił popełnienie mordu. Mecenas nie podał żadnego uzasadnienia swego wniosku, ale oczywiste było, że Jadwiga Strzelecka po długotrwałym przewodzie sądowym nie była przekonana, że na ławie oskarżonych znaleźli się rzeczywiście mordercy jej męża.

Prokurator jednakże zażądał wymierzenia kary 25 lat więzienia dla głównego oskarżonego, przyznając zarazem, że jedynym właściwym dowodem winy jest jego własne przyznanie się. Jeden z obrońców występujący na procesie (adwokat oskarżonego, któremu nie zarzuca się udziału w zamordowaniu Strzeleckiego) przypomniał, że osławiony w latach trzydziestych prokurator generalny ZSRR, Andrzej Wyszyński, głosił teorię, że przyznanie się oskarżonego jest najlepszym dowodem jego winy. W państwach cywilizowanych teoria Wyszyńskiego nie znalazła zwolenników.

Gdy piszę te słowa, Sąd Wojewódzki jeszcze nie ogłosił wyroku i trudno przewidzieć jaki będzie wyrok, zwłaszcza, że czwórka oskarżonych ma na sumieniu wiele innych zbrodni, nie pozostających w żadnym związku z zamordowaniem Jana Strzeleckiego.

Ale bez względu na to jaki będzie wyrok, pozostaje otwarte pytanie, kto zamordował tego wspaniałego człowieka. Prawdopodobnie nigdy nie dostaniemy miarodajnej i prawdziwej odpowiedzi na to pytanie. Możemy się tylko domyślać...

Grzegorz Jaszufski

WSM — aspołeczna struktura w społecznej świadomości

ODRĘTWIALI

koniec eksperymentu: Warszawska Spółdzielnia Mieszkaniowa

— To była pierwsza, w Warszawie, to jest najstarsza w kraju, jeszcze przedwojenna spółdzielnia mieszkaniowa. Spółdzielnia dla robotników, ludzi pracy — najczęściej padają odpowiedzi ogólne. Jeśli już przypadkiem przekroczona zostanie powszechna niemalże obojętność obecnych członków Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej wobec jej przeszłości.

Wzruszenie ramion.

— Tradycje? Były piękne. Pamiętam nabożeństwa majowe odprawiane na każdym podwórku — mówi inżynier dumny z tego, że wśród członków założycieli WSM na Żoliborzu znajdowali się jego krewni.

— Tradycje były lewicowe, pepeesowskie. Spółdzielnia propagowała powszechne budownictwo mieszkaniowe, autentyczny samorząd, informowanie członków o działaniach zarządu, by ich zainteresować ruchem spółdzielczym, życiem osiedla — mówi lepiej poinformowany prawnik.

— Spółdzielczy dom społeczny miał skupiać życie społeczne, kulturalne mieszkańców — odczytuje z rozkładu zabudowy nie znana sobie tradycję WSM ekonomista. — Budowano nie tylko mieszkania, ale od razu całą infrastrukturę: żłobki, przedszkola, szkoły.

— W gazecie, którą Zarząd WSM wydawał dla członków spółdzielni ostrzegano matki z jednej części osiedla przed epidemią szkarlatyny, która szerzyła się wśród dzieci w innej części osiedla — podkreśla lekarka, która historię WSM zna z od dawna nie istniejącego „Życia WSM”, o którego wydawaniu nikt prawie nie pamięta. — W innych artykułach doradzano jak urządzić mieszkanie, jak żyć po miejsku. Członkami spółdzielni byli najczęściej robotnicy w pierwszym pokoleniu. Przyjechali ze wsi do Warszawy. „Życie WSM” pełniło ważną funkcję, oswajało ich z miastem, łagodziło przejście do nowych warunków życia...

— Spółdzielnia dobierała sobie członków — mówi pielęgniarka, której duma z członkostwa WSM przysłała po latach mieszkania na Żoliborzu, gdy na wczasach dowiedziała się od nowych znajomych o tradycjach spółdzielni, których w życiu codziennym nie mogła już dostrzec ani przedtem, ani potem.

— Tanie mieszkania dla robotników — zgrzytają czasami ironią wypowiedzi.

— Tradycja WSM kojarzy mi się z oschłym, starszym panem, członkiem władz WSM, który odbudowywał spół-

dzielnię po wojnie, a nie mógł zrozumieć moich problemów mieszkaniowych — mówi rencistka. — Choć mógł pomóc, bardzo skomplikował mi życie. Pod tym względem tradycja WSM jest kontynuowana — dodaje, wyłamując się w ten sposób z powszechnego sądu, że tradycje WSM zaginęły, lub Spółdzielnia sprzeniewierzyła się ich treści. Spółdzielcy dostrzegają jedynie ciągłość, istnienie obcej sobie struktury, dla której tradycja, przesłanie ideowe przeszłości nie może stanowić uzasadnienia.

Wyspa z innego świata

Anonimowość wszystkim moim rozmówcom zapewniają badania socjologiczne. Zlecił je Zarząd WSM, jakby potwierdzając maksymę jednego z niemieckich filozofów o tym, że sowa mądrości wylatuje (mądrość nadchodzi) dopiero wraz z zapadającym zmierzchem. Zarząd chciał w końcu poznać opinie. Zgodnie z regułami sztuki z list czynszów wylosowano 1000 członków spółdzielni. Należałem do zespołu, który przeprowadzał wywiady. Rozmawiałem z lokatorami przed drzwiami, częściej wewnątrz ich ciasnych, niskich, źle rozplanowanych — jak twierdzili — i w większości zniszczonych, ubogo wyposażonych mieszkań. W blokach, które w przeszłości zajmowały wysokie miejsca w konkursach „Mister Warszawy”, choć kuchnie miały zaprojektowane bez przestrzegania norm bezpieczeństwa. Pralki automatyczne stały w ślepych kuchniach mieszkań innych bloków, bo nie mieściły się w ciasnych łazienkach... Męczyły mnie, tak jak mieszkańców w blokach bez wind kręcone schody w ciemnych jak średniowieczne wieże klatkach schodowych. W czasie wywiadów przeprowadzanych na spacerach po osiedlu widziałem („ludzie mieszkają tu porządnie, ale dzieci...!”) zdewastowane ławki na osiedlowych zieleńcach, które chronione są przed zabudowaniem plombami architektonicznymi przez samorządy osiedlowe, o których działaniu mało kto na osiedlu wie.

Dla socjologa jednakże badania WSM — to okazja krytycznego sprawdzenia socjalistycznych idei jednego z mistrzów współczesnej polskiej socjologii, autora m.in. pracy *Struktura społeczna w społecznej świadomości*, a poza tym propagatora wypracowanych przez przedwojenną WSM idei urbanistycznych osiedli, które tworzyłyby więź społeczną mieszkańców.

...osiedle żoliborskie WSM nie tylko ukształtowało zbiorowość terytorialną, ale wytworzyło własny styl życia zbiorowego.

Na jego terenie zrodziły się nowe wartości kulturalne. Ta część mieszkańców, którą łączyła więź ideowa, nadała styl całej zbiorowości. Sprawa osiedla przestała być sprawą lokalną — pisał. — Szkoły osiedla — pomimo wielkich braków wynikających ze szczupłości środków finansowych — stały się pozycją w dziejach warszawskiego szkolnictwa. A mieszkańiec Osiedla w epoce Ozonu, w epoce ghetta ławkowego, wracając do siebie ze śródmięścia przenosił się w inny świat, odzyskiwał poczucie swobody, czuł się pośród swoich.

W dni uroczyste witał go sztandar czerwony nad kominem kotłowni...

Więź łącząca mieszkańców — notował w latach okupacji — kultura współżycia charakteryzująca trzon tej zbiorowości, stanowiła dla niejednego z członków oparcie, które umożliwiała mu nie tylko przetrwać ów okres, ale nie zmarnować lat pełnych grozy. (...) Na terenie osiedla przygotowywano się do kształtowania nowej rzeczywistości społecznej. Na terenie osiedla powstawały plany nowej Warszawy.

Pod pewnymi wszakże względami sytuacja osiedla po wojnie stała się trudniejsza. Znacznym zmianom uległ skład mieszkańców. Osiedle utraciło większą część najbardziej aktywnych członków: jednych dlatego, że zajęli odpowiedzialne stanowiska poza terenem Spółdzielni, innych — bo zginęli w czasie wojny. (...) Spółdzielnia straciła swój wyspowy w sensie ideologicznym charakter: nie przeciwstawia się otaczającej rzeczywistości jak przed wojną.

Stanisław Ossowski w 1947 r. pisał, że WSM... stanowiła również ważny eksperyment jako próba świadomego wytworzenia środowiska społecznego na określonym przestrzennie podłożu. Eksperyment, którego doświadczenia mogą być szczególnie cenne w obecnym okresie, okresie planowania miast i osiedli. ...choćby osiedle przestało być wyspą z Innego Świata, (...) aktywna rola żoliborskiego osiedla nie skończyła się. Sądzę, że powinna stać się dla nowych osiedli nie tylko zasobem doświadczeń, ale żywym rozwijającym się wzorem. W czasie gdy to pisał — jak pamiętają to WSM-owcy — struktura spółdzielni stawała się im obca, spółdzielcy tracili kontrolę nad władzami, „nie wiadomo było kto i dla czego dostawał mieszkania”.

ciąg dalszy na stronie 5

ciąg dalszy ze strony 4

„Żywy” wzór

— Innych mieszkańców znam tylko z widzenia — mówi niewidoma mieszkanka jednego z osiedli. Nie dotarła tu, ani nie wytworzyła się kultura więzi, życia społecznego dawnej WSM. W jakiś przewrotny sposób stosunki wszystkich prawie mieszkańców osiedla, również tych obdarzonych dobrym wzrokiem, układają się jak ich niewidomej sąsiadce. Przyjaciół mają w innych dzielnicach miasta. Najbliższych sąsiadów znają na tyle, by móc u nich w razie potrzeby zostawić klucz od mieszkania. I to wystarcza. Większości zależy na dobrych stosunkach sąsiedzkich, ale przeważnie nie starają się ich zacieśnić. Zdarzają się przypadki wspólnego zagospodarowania odgrodzonego korytarza na piętrze, ale na opory natyka się inicjatywa założenia domofonów. Czasami — tak jak na osiedlu Jasnodworska — łączy wszystkich wspólne zagrożenie, np. zamary gwóźdź w ostatnich przemianach projekt budowy w środku osiedla przychodni MSW. Najczęściej jednak konflikty to drobne uciążliwe sprawy, w których rękę ma administracja, a nie pojedynczy mieszkańcy, lub w wyjątkowych wypadkach — jak sprawa podwyżki czynszu, która skłoniła część lokatorów do wyższego działania — zarząd. Z reguły jednak sprawy nie docierają tak wysoko. Spółdzielcy nie znają swoich praw, ani

nie orientują się w strukturze WSM.

— To nie działa tak jak kwaternion? — dziwi się szczerze po latach zamieszkiwania jeden z członków spółdzielni.

— Rada nadzorcza? A po co to jeszcze istnieje? Samorząd? Czasy samorządów już się skończyły — oburza się młody robotnik. Padają fantastyczne zupełnie opisy związków między władzami spółdzielni: zarząd ma kontrolować radę nadzorczą (w rzeczywistości jest akurat odwrotnie), samorząd mieszkańców to najwyższa władza w spółdzielni. Tak opisywać można tylko obcą, aspołeczną strukturę z innego świata niż życie codzienne. Nawet ci, którzy na tyle otarli się o prawa spółdzielcze, że mogą przytoczyć definicje poszczególnych władz, przyznają, że w istocie nie wiedzą co one czynią. — Powinni wrócić do statutów z lat trzydziestych — pohukuja. Czyja to własność? — Należy, państwowa, zarządu, administracji — odpowiadają. Wszyscy są prawie przeciwko administracji, przeciw lekceważeniu przez nią potrzeb mieszkańców. — W rzeczywistości zarząd zrzucił całą odpowiedzialność na administrację, bardzo ograniczoną w sprawach finansowych — mówi jedna z działaczek samorządowych. Wszyscy chcą więcej informacji o zarządzaniu spółdzielnią, własnej gazety lokalnej lub ogłoszeń na tablicy.

— Samorząd, który tak jak władze spółdzielni nie stara się o publiczne informowanie mieszkańców o swej działalności, robi za mało — krytycznie przyznaje działaczka samorządowa. — Ludzie w nim pracujący są nieliczni, trafili tu z „łapanki”, gdy nieostrożnie zajrzeli na zebranie wyborcze. Samorząd obniża czynsze uboższym lokatorom, zajmuje się ludźmi starszymi lub wymagającymi opieki, ale nie do wszystkich dociera. Jednemu z ubogich uczniów funduje obiady w szkolnej stołówce. W kilku blokach doprowadził do wymiany rur wodociągowych, ale w wielu innych — z trudnością do mieszkań dociera woda przez nie remontowaną od 20 lat instalację wodociągową. W działalności charytatywnej samorząd współpracuje z Kościołem.

— Rozbić molocha

— mówią o spółdzielni ci, którym przypadkiem pilniejszą sprawą nie wydaje się wytepienie na osiedlu kotów w piwnicach, albo szczurów (tam gdzie nie ma kotów). — Za bardzo rozbudowana, za daleko jest zarząd, Interesy są rozbieżne. Tylko w mniejszych grupach można współdziałać, mieć autentyczne życie samorządowe. W mniejszych spółdzielniach można byłoby lepiej nadzorować administrację, jej pracowników, przydział mieszkań, zarządzanie. Tym małym spółdzielniom będzie ciężko — martwią się na wyrost. — Przybędzie tylko nowych urzędników, zabiorą lokale na biura — podsuwają drudzy. — Powinny decydować względy ekonomiczne, spółdzielnie nie mogą być zbyt małe, powinny budować — wahają się inni. Szczególnie drażni niegospodarność — miedziany dach — „jak na zamku królewskim” — na jednym z administracyjnych budynków spółdzielni, czy wykorzystywany podobno tylko w 30% ośrodek obliczeniowy WSM: Nowym spółdzielniom można byłoby rozdać po jednym minikomputerze i wystarzyłoby. Jednak ci, którzy zgłaszają te propozycje, uważają, że rozbić molocha powinni inni. Nie oni. Tkwią w odrętwieniu, choć zapewniają, że chętnie podjęliby jakieś działania dla mieszkańców, dla osiedla, gdyby ktoś ich przekonał i zaproponował założenie telewizji kablowej, czy nawet zasadzenie kwiatów przed blokami jak kiedyś. Ci nieliczni, którzy jednak proponowali np. wspólne sprzątanie klatki schodowej natknęli się na mur niechęci. To odrętwienie to prawdziwy koniec eksperymentu Warszawska Spółdzielnia Mieszaniowa. Zanim jeszcze ktoś miłosierną ręką przetrze nie istnienia tego molocha, którego nic nie łączy z ideami jego założycieli. Ideami, które trzeba przemyśleć od nowa. Eksperyment, choć nieudany, dowiódł przecież, że wymykające się spod kontroli ludzi kolosy nie służą mieszkańcom, ani — jak to się za czasów St. Ossowskiego mawiało — „sprawie socjalizmu”.

Tadeusz Krassowski

ciąg dalszy ze strony 3

Poeta spisze prawdę

Przez dziewięć lat Armando siedział w pojedynczo o pobielanych ścianach i silnym oświetleniu jarzeniowym, którego nie wyłączano nawet w nocy. W celi nie było okna i mimo upału żadnego przewiewu. W innej celi, w której było okno, zostało ono przysłonięte stalową „blindą” z czterema małymi otworami do wentylacji. Drzwi do celi były stale zamknięte. Zaduch w celi był nie do wytrzymania. Władzom więziennym i tego było mało, więc przez 46 dni nie dawano mu jeść. Warunkiem otrzymania jedzenia było zgłoszenie się na reedukację ideologiczną. Codziennie pytano go, czy zgadza się na reedukację, a gdy odpowiadał, że nie, słyszał odpowiedź, że wobec tego nie otrzyma jedzenia. Na skutek głodu stracił władzę w nogach i przez 7 lat był skazany na wózek inwalidzki. Dopiero na jakiś czas przed uwolnieniem z więzienia poprawiono warunki odżywiania i zaczęto stosować zabiegi rehabilitacyjne, które przywróciły mu władzę w nogach. Wolność zawdzięcza solidarności ludzkiej. Pisał wiersze na bibułce papierosowej ostrym ołówkiem, by „gryps” był jak najmniejszy. Pod bibułkę podkładał blaszaną miskę do jedzenia, wtedy literki mogły być

mniejsze. Bibułki przemycił podczas widzeń lub za pośrednictwem innych więźniów. Niektóre wiersze wynosili nawet strażnicy więzienni. Napisał w sumie 40 wierszy, które wydano w zbiorze zatytułowanym *Desde mi Silla de Ruedas (Z mego inwalidzkiego wózka)* na Florydzie, w 1976 r. Po roku otrzymał za nie nagrodę. Po dwadzieścia razy przepisywał te wiersze, by zapewnić im wydotanie się poza mury więzienia Cabana. Gdy w 1979 r. zbiór wierszy został wydany w Madrycie i Paryżu pt. *Prisionero de Castro* przedmową do książki napisał więzień radzieckiej „psychuszki” ukraiński opozycjonista Leonid Pluszcz. Wkrótce potem Armando został przyjęty na członka francuskiego PEN-Clubu, który zainicjował akcję w jego obronie. Ostatecznie z więzienia wyrwała go żona, Martha, a raczej prezydent Francois Mitterand, który pod wpływem jej prośby wstawił się za Armandem u Fidela Castro. (Zabiegi żony Armanda u moźnych tego świata opisuje wzruszająca piosenka Jacka Kaczmarskiego, której Armando wysłuchał nie rozumiejąc ani słowa i jak się wydaje bez naleźnego wzruszenia). Po wyjściu z więzienia spisał z pamięci nowy tom wierszy więziennych z ostatnich dwóch lat pobytu w celi, w której dzięki zapobiegliwości władz nie miał ani papieru, ani ołówka. Książka otrzymała tytuł *Jaskinie ciszy*. Później napisał wspomnienia zatytułowane *Contra toda esperanza (Na przekór wszelkiej nadziei)*. Tytuł jest trawestacją wersetu z Pisma Świętego i mówi o trwaniu na przekór wątpieniu. Została ona uznana w USA za najlepszą książkę roku i przetłumaczona na wiele języków świata. Wersja skrócona ukazała się w 18 wersjach językowych. (Podczas rozmowy z Lechem Wałęsą zapowiedziano jej wydanie po polsku).

Po uwolnieniu, Armando zamieszkał wraz z żoną w Madrycie, ale prezydent Ronald Reagan mianował go przedstawicielem USA w ONZ-towskiej Komisji Praw Człowieka w Genewie. Do Polski przyjechał z Jorge Mas Canosą — dyrektorem Rozgłośni Radiowej „Marti”, nadającej audycje dla Kuby z Florydy, oraz grupą dziennikarzy emigracyjnych. Są zatroskani o los licznych (kilkanaście tysięcy) więźniów politycznych na Kubie, a zwłaszcza o więźniów prowadzących strajk głodowy w chwili obecnej. Jest wśród nich Mario Chanes — jeden z przywódców „Ruchu 28 lipca”, więziony przez Fidela Castro od 28 lat. Tak Fidel Castro traktuje współtowarzysza broni, który przybył wraz z nim na jachtie Granma i walczył w górach Sierra Maestra, tylko za to, że woli demokrację od osobistej dyktatury Fidela. Armando obawia się, że jeśli światowa opinia publiczna nie wystąpi w obronie więźniów sumienia na Kubie, Fidel Castro pozwoli im spokojnie umrzeć z głodu. Dodajmy, że taki los może spotkać wielu Kubańczyków, dla których w ten sposób ziści się komunistyczne hasło *con Fidel hasta la muerte* (z Fidelem aż do śmierci).

Na zakończenie naszej rozmowy poprosiłem tłumaczkę Armanda — p. Katarzynę Szymczyk o przetłumaczenie osobistej refleksji. Kiedyś, przed laty, czekałem kilka godzin na ulicy, by powitać osobiste Fidelą Castro. Wyplułem Fidela z mego serca, gdy mój przyjaciel czytający prasę francuską, powiedział mi o losach Armanda Valladaresa. Armando uśmiechnął się na tę opowieść i powiedział, że jeszcze teraz jest wielu ludzi, którym trzeba otwierać oczy na ponurą rzeczywistość dyktatury Castro. Armando zapewne nie zna wiersza Czesława Miłosza o poecie, który spisze prawdę o zbrodniach dyktatora, krzywdzącego prostych ludzi, ale w tym widzi swoją powinność.

Co tam, panie, w polityce?**Od Mongolii do Nikaragui**

Na małym globusie mojej dwunastoletniej wnuczki widać, że Mongolia i Nikaragua znajdują się niemal na antypodach. Te dwa państwa są nie tylko bardzo odległe, są całkowicie różne.

Różnią się pod względem warunków naturalnych (słynne stepy mongolskie), różne miały dzieje (Czyngis-chan w Mongolii i Kolumb w Nikaragui), różne poziomy rozwoju gospodarczego i kulturalnego. A jednak — pomimo tej odległości i tych wszystkich różnic — w ostatnim czasie w obu państwach następują podobne procesy polityczne, które najkrócej można ująć w sformułowaniu: pożegnanie z komunizmem.

W Mongolii kiedyś byłem. Jest to jeden z najciekawszych i najbardziej biedniejszych krajów, jakie poznałem w czasie licznych podróży. Nie wszyscy może pamiętają, że Mongolia była pierwszym „krajem demokracji ludowej” — już w 1921 roku wojska sowieckie okupowały to państwo i zaczął się gwałtowny proces sowiezacji. Doszło do tego, że władcy z Moskwy nakazali zlikwidowanie starego pisma mongolskiego i wprowadzenie cyrylicy. Moi rozmówcy, członkowie partii, głosili zalety alfabetu rosyjskiego, ale — jak zauważyłem — notatki z rozmów ze mną spisywali... po mongolsku (z góry na dół).

I w tej właśnie tak zacofanej Mongolii zaczęły się ruchy protestacyjne, powstały organizacje demokratyczne, a premier — oczywiście komunista — wypowiedział się za „pluralizmem”. Komentatorzy zachodni nie wykluczają, że Mongolia wkrótce pójdzie „drogą polską”.

Gdyby tak się stało, na porządku dziennym stanęłaby trudna sprawa tak zwanej Mongolii wewnętrznej. Tak się oficjalnie nazywa granicząca z Mongolią („zewnętrzna”) prowincja chińska, w której mieszkają tacy sami Mongołowie, tylko że jest ich pięć razy więcej. Być może Mongołowie chcieliby odtworzyć wspólne państwo, a wówczas ZSRR i Chiny, pomimo nie najlepszych stosunków między nimi, mogłyby zawrzeć wspólny front — za utrzymaniem *status quo* — czyli za utrzymaniem podziału Mongolii.

Z kolei Nikaragua. W ciągu ostatnich lat — po dojściu do władzy tzw. sandinistów z Danielem Ortegą na czele — w stolicy Managui ogłoszono oficjalnie jak najbardziej demokratyczne hasła, a jednocześnie tępią wszelkie przejawy opozycji i wolności. Obok Kuby Nikaragua stała się eksponentem marksizmu-leninizmu (cokolwiek to znaczy) na kontynencie amerykańskim. Z Moskwy szła pomoc (gospodarcza i wojskowa), prawdopodobnie ostatnio ograniczona lub nawet zahamowana.

Niespodzianką stały się wybory prezydenta i parlamentu. Badania opinii publicznej, łącznie z nowojorskimi, zapowiadały kolejne zwycięstwo Ortegi i „sandinistów”. Można przypuszczać, że podczas tych badań ankietowani bali się mówić prawdę. Ale wybory pod kontrolą międzynarodową (byli obserwatorzy także z Polski) dały zwycięstwo opozycji demokratycznej, a Ortega przyznał się do porażki i zapowiedział lojalną współpracę z przywódcą opozycji — panią Violetą Chamorro (prowadziła kampanię wyborczą na wózku inwalidzkim). Przekazanie władzy ma nastąpić w kwietniu i wygląda na to, że odbędzie się to bez przeszkód.

„Sandiniści” doprowadzili Nikaragwę do klęski gospodarczej i do przekreślenia praw i wolności obywatelskich. Miejmy nadzieję, że również Nikaragua pójdzie „drogą polską”.

Jeśli rok 1989 był rokiem Europy Wschodniej i Środkowej, to rok 1990 może stać się rokiem globalnej likwidacji wpływów komunistycznych. Krytyczny czytelnik może tu wtrącić: a Kuba?, a Korea Północna?, a wielkie Chiny?, a wreszcie Związek Radziecki?

Odpowiem na to, że — moim zdaniem — to tylko kwestia czasu i tempa przemian. Najciekawsze doniesienia napływają właśnie z ZSRR. Państwa bałtyckie: Litwa, Łotwa i Estonia, szykują się do niepodległości, czyli do pozbycia się komunistów. Lecz z punktu widzenia polskiego najważniejsze mogą być procesy zachodzące w sąsiedniej Ukrainie (przypominam: 50 milionów mieszkańców). Trudno przewidzieć, jaki tam będzie rozwój wydarzeń, ale ich kierunek jest jednoznaczny: od komunizmu.

Grzegorz Jaszufski

O wybaczeniu w oświacie

Krajówka nauczycielskiej „Solidarności”, będąc w zgodzie z poglądem Ministerstwa Edukacji, postanowiła zaapelować do kierownictw placówek oświatowych, by wystąpili do rad pedagogicznych o wotum zaufania. Wiadomo bowiem, że w wielu szkołach stanowiska dyrektorów piastują ludzie niewiarygodni, często narzuceni spoza grona pedagogicznego. Jeszcze nie tak dawno ich bojowym zadaniem było pacyfikowanie oświaty. Czasy się zmieniły, starzy dyrektorzy zostali — z tym samym tupetem i mentalnością, będąc zawalidrogą w reformowaniu szkół. Śluszność decyzji „S” nauczycielskiej, mającej na celu pozbycie się tej przeszkody, nie ulega więc żadnej wątpliwości.

Tymczasem Ministerstwo zamiast uchwalić o tej akcji zarządzenie i rozesłać je po szkołach, zważyło całą robotę na „S”, która za pośrednictwem szkolnych kół ma dopilnować przedsięwzięcia. W ten sposób w najlepszej sytuacji znaleźli się właśnie dyrektorzy niepopularni. Zdażyli oni wcześniej w swolch szkołach przetrzebić grono i przegnać osoby odważne, niewygodne. Koła „S” są u nich bardzo słabe, albo w ogóle ich nie ma, czują się więc pewnie i bezkarnie.

Z kolei dyrektorzy, u których najodważniejsi nauczyciele znajdowali schronienie, mają siłą rzeczy do czynienia z ogniwami „S” prężnymi i konsekwentnymi. Nie spotka więc ich takie szczęście, jak tamtych najgorszych i będą przez swoje grono weryfikowani.

Pozostaje pytanie — czym kierują się przedstawiciele Ministerstwa, chroniąc przed testem popularności dyrektorów niepopularnych, ludzi wciąż uprzykrzającej nam życie szczeniści? Czy chrześcijańskim wybaczeniem? Ja myślę, że wręcz przeciwnie — nie wiedzą co czynią.

Adam Hohendorff

sto pytań do...**Moczulski kontra banda**

Do telewizyjnego programu „Sto pytań do...” prowadzonego przez Annę Grzeszczak-Gałązkę zaproszono przywódcę Konfederacji Polski Niepodległej, Leszka Moczulskiego. Wśród zadających gościowi pytania dziennikarzy przeważali przedstawiciele pism zasłużonych swego czasu w dziele opłuskiwania działaczy niepodległościowych, w tym zwłaszcza Moczulskiego. Ci ludzie mający dyspozycyjność we krwi dziś schlebiają komitetom obywatelskim i całej tradycji wywodzącej się z KOR i „Solidarności”, zapewne dlatego, że te siły obecnie dominują. Prowadząca spotkanie już na początku wystąpiła z tezą, że KPN jest organizacją warcholską, nieodpowiedzialnie pochającą młodzież do zady, gdy nam dziś potrzebne jest porozumienie, a nade wszystko spokój. Inny dziennikarz z dawnej prasy reżimowej interesował się, czy jest prawdą, że Moczulski zanim został opozycjonistą pisywał przemówienia działaczom partyjnym. Jego koleżanka z pokrewnego czasopisma dramatycznym gestem wymachiwała broszurką z serii „z tygrysem” napisaną niegdyś przez Moczulskiego wyraźnie sugerując, że pisanie dla Wydawnictwa MON jest właściwie zdradą narodową. Swoją drogą mogłaby zapoznać się z treścią, spojrzeć na datę wydania i jeśli nie brak jej elementarnego wykształcenia historycznego, to zrobiłoby się jej głupio. Na zakończenie p. Grzeszczak-Gałązka oświadczyła, że na takich awanturników jak KPN nie da ani grosza, mimo że z wypowiedzi Moczulskiego wynikało, że jednakowoż jest on politykiem i przywódcą partii, która konsekwentnie realizuje swój program, czym przyczyniła się do obalenia komunizmu może więcej niż wszyscy pozostali zgromadzeni w studiu.

KPN, podobnie jak i inne partie niepodległościowe, ma bardzo ograniczone możliwości prezentowania swych racji. O uwolnienie Moczulskiego i kolegów z więzienia nieskutecznie i w sposób niewystarczający występowała „Solidarność” w „dniach swej chwały w latach 1980/81. Plotka słubna niesie, że Moczulski w grupie szczególnie zasłużonych opozycjonistów nie jest traktowany jako pełnoprawny partner, dlatego doświadczeni dziennikarze szukający nowych panów chcieli dać sygnał, że swoich obowiązków traktują poważnie, że obojętne im, pod jakimi sztandarami będą czekać.

Smutne to, że nawet publicysta „Tygodnika Solidarność”, choć bzdur nie opowiadał, to przecież rozrabianego na oczach milionów widzów Moczulskiego nie wziął w obronę. Prezes Drawicz po chrześcijańsku zostawia w swej instytucji dawnych dziennikarzy. Ale czy to chrześcijańskie oddawać trybunę gangsterom słowa?

RIF

ROBOTNIK, organ centralny PPS

redaguje zespół, redaktor naczelny: Wojciech Borowik

skład: KOREKT sp. z o.o., druk: MYŚL

cena: 400 zł